

# Niebezpieczna ofensywa „rozumiejących Putina”



**Sebastian Płociennik**  
ekspert  
Polskiego  
Instytutu  
Spraw Międzynarodowych

**W**Niemczech nasila się spór o politykę wobec putinowskiej Rosji. Z jednej strony mamy nurt twardego kursu, do którego dołączyła ostatnio kanclerz Merkel zmęczona kilkudziesięcioma bezproduktywnymi rozmowami z Władimirem Władimirowiczem. Ten nurt postrzega Putina jako zagrożenie wobec europejskiego porządku i stawia coraz wyraźniej na jego „powstrzymanie”. Z drugiej strony bardzo aktywni w debacie publicznej są zwolennicy koncyliacji i ułożenia stosunków z Rosją, do których należą choćby byli socjaldemokratyczni kanclerze Gerhard Schroeder i Helmut Schmidt.

Ich sposób myślenia dobrze oddaje apel, który opublikował na początku grudnia liberalny tygodnik „Die Zeit”. Dokument zatytułowany „Znowu wojna w Europie? Nie w naszym imieniu!” podpisało 60 osobistości życia politycznego, kultury, a także Kościołów. Nie ma wśród nich radykałów lewicy i prawicy, którzy bez ogródek nawołują do sojuszu z Rosją, są osoby kojarzone z solidnym mieszczańskim centrum. Tym bardziej martwiw jego tezy, które dla Polski i innych krajów Europy Środkowej powinny być w wysokim stopniu niepokojące.

Rzdemien przekonania „rozumiejących Putina” jest zrównanie intencji i polityki Zachodu i Rosji. Apel zaczyna się od stwierdzenia, że obydwie strony „nakręcają spiralę wzajemnych gróźb”. Trudno sobie jednak przypomnieć, by jakiś europejski polityk sugerował, że

może w ciągu dwóch dni zająć Sankt Petersburg, a w ciągu dwóch tygodni Moskwę. Putin tymczasem podobne groźby wobec sąsiadów wyrażał. „Konflikt na Ukrainie pokazał – twierdzą dalej autorzy – że dążenie do władzy i dominacji nie zostało po 1990 r. przewyciężone”. Według nich świadczyć ma on tym zarówno rozszerzenie UE i NATO w kierunku wschodnim bez jednoczesnego pogłębienia współpracy z Moskwą, jak i sprzeczna z prawem międzynarodowym aneksja Krymu. To szokujące zestawienie: zrównuje polityczny projekt oparty na demokratycznym wyborze ze zwykłą agresją. Kremlowska telewizja Russia Today by tego lepiej nie ujęła.

Drugim ważnym punktem jest wezwanie rządu niemieckiego do zainicjowania „nowej polityki odprężenia”, za którym kryje się – w sposób zamierzony lub nie – idea ekskluzywnej współpracy RFN i Rosji. W żadnym punkcie nie ma mowy o inicjatywach pod parasolem UE czy podejmowanych z sojusznikami i choć autorzy zastrzegają, że nie chodzi o niemiecką Sonderweg, to takie skojarzenia automatycznie się nasuwają. Czytając apel, można też odnieść wrażenie tęsknoty za starymi czasami stref wpływów. Rosji nie da się wypędzić z Europy – twierdzą autorzy – bo od kongresu wiedeńskiego w 1814 r. należy ona do mocarstw „kształtujących Europę”. Zadziwia kompletny brak refleksji o dobroku tego kształtowania – od utopionych we krwi powstań do żelaznej kurtyny i komunizmu. Ten

bilans należałoby dodatkowo uzupełnić o tworzenie zamrożonych konfliktów i autorytarnych pseudopaństwów z mafiami jako rządami. Najwyraźniej to sygnatariuszy nie interesuje: zapewne już teraz uznają, że chodzi o inną strefę wpływów.

Ten wątek pasuje do jeszcze jednej cechy apelu: ignorowania interesów Europy Środkowej i Wschodniej oraz ich historycznych doświadczeń z Moskwą. Autorzy ograniczają się do stwierdzenia, że Rosja ma takie samo prawo do bezpieczeństwa jak Polacy, Białowie czy Ukraińcy. Wobec ostatnich wydarzeń u naszego wschodniego sąsiada czy choćby asymetrii potencjałów wojskowych brzmi to niemal cynicznie.

Apel chciałoby się uznać za wypadek przy pracy niemieckich elit. Ale nie można. Po pierwsze, nie pozwala na to lista sygnatariuszy, choć ten i ów mógłby się pocieszać, że nie chodzi o pierwszy garnitur polityczny. Po drugie, powyższe poglądy idealnie łączą się z rosnącym antyamerykanizmem Niemców i coraz bardziej wyraźną niechęcią do UE i NATO. Nikt nie podważa jeszcze Westbindung, czyli powiązania z Zachodem, ale za dekadę lub dwie – kto wie? Po trzecie, zaprasza on do niebezpiecznego „pragmatyzmu” (czyli relatywizmu) w polityce zagranicznej, który kiedyś symbolizował Hans-Dietrich Genscher. Brytyjski historyk Timothy Garton Ash opisał go ironicznie jako „dążenie do utrzymywania przyjaznych stosunków z niebem, pogłębionego partner-

stwa z ziemią oraz owocnej współpracy z piekłem”.

Ukraina, ale też Polska i inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej mogą przy niekorzystnym obrocie spraw stać się ofiarami owocnej współpracy z piekłem. Dlatego z poglądami „rozumiejących Putina” trzeba dyskutować, a nie pocieszać się, że mamy Merkel. Warto przy tym wykorzystać pewną cechę niemieckiej debaty publicznej, która więcej uwagi poświęca zagrożeniom niż szansom. Chodzi więc o wskazanie zagrożeń związanych z potraktowaniem Europy Środkowej i Wschodniej jako regionu, którego suwerennością można handlować w imię pokoju w Europie. Oznaczałoby to, po pierwsze, destabilizację regionu, spowolnienie jego rozwoju i potencjalne straty dla niemieckiej gospodarki, która obecnie zarabia dużo więcej na wymianie z Polską i jej sąsiadami niż ze zmitologizowanym, bezkresnym rynkiem rosyjskim. Po drugie, w obliczu kunktatorskich Niemiec kraje regionu zostałyby zmuszone do poszukiwania dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa, co zwiększyłoby znaczenie USA w regionie (a nie ograniczenie, jak wielu Niemców sobie życzy) oraz wyścig zbrojeń, którego ofiarą może stać się nawet zasada nieprolifracji broni jądrowej. Na Ukrainie odbudowa arsenału atomowego nie jest tematem tabu. Jego istnienie byłoby komunikatem skierowanym nie tylko na wschód, do Moskwy, ale także na zachód, do Niemiec: nie jesteśmy krajem „pomiedzy”, traktujcie nas poważnie.